

Poezje wiejskie

stojąc na jednej nodze

widziałeś horyzont. las
odrywał się od korzeni i żelazny łuk
chmury wypalał w nim piętno.

strata

istnieje, mały lichwiarzu. nieważna jest chwila,
kiedy ślepe stopy przekłuł pusty, samotny dźwięk.
wiek minął na autostradzie i wchodziłeś w tunele z żył,

które rozgałęziały się w rozmokłe dukty.
ludzie byli obojętni jak widziany z daleka
pogrzeb. rzeka niosła w podniebieniu liście

o spokojnych twarzach. obchodziło cię zabójstwo
w głogu, kiedy sójka wybierała pisklęta i krzyk
czyżyka nie różnił się niczym od rozszarpanej

sekundy. nie istnieje nic, którą mógłbyś zaszyć
torbiel czasu. jak ślina ciekną z twoich ust

dni.

widma pożywne i zajadłe.

kłębek

nie bałem się owiec. trzeciego lata zgubiłem dłoń w sierści. kłębek rozwinął się i wpadł do rzeki. nie było mięsa, beczącej głowy. od wnętrza skóra spływała krwią. ojciec wprawiał się w tańcu z nożem.

lubiłem ostrza, zimny świt, smugi pary. matka we mgle wychodziła z drzewa, z torbą gadających ryb i rzepy, której skóra krakała, jakby z mroku zostało rumowisko. gdy rosła burza, ganiłem strach. grzmot

zszywał oczy i śnił się

mesjasz. nagi z chorągwią. wiodący w prześwit owce na ubój. boża panienka o sześciu piersiach, iskana przez sroki i wrony. elizeum na leśnej ścieżce. nie rodzimy się inaczej, tylko z ziemi. nawet

samoloty. któregoś lata niebo ścierpło i dwupłatowce

rozsiały nad lasem spadochroniarzy. manewry jakby poderwały się trzciny albo ojcu odpadły wąsy. śmieszne? podobno lubiłem się śmiać.

kto śmieje się ostatni? kogo odprowadzę w etui? kto mnie powie-
dzie
z kluczykiem w ustach? będę się śmiał. się rozejdę.

wszędzie.

na wznak

dzieciństwo to nie opoka, zatem nas zabija.

tamtego dnia z palców sączyła się ziemia, chociaż lato
i ogród zmieniły cię w rumień. miedź też podlega
chorobie, łamanii

barw. dlatego boję się szpitali? umarłeś w Łasku,
bez przebaczenia, odpoczynku między twarzą i płótnem.
co ostygło? porażenie? grzebanie miesięcy zostawionych
żywym? w ostatnią niedzielę,

w porze odwiedzin, trzepałem dywan
z twojego pokoju, który matka i siostra,
nareszcie zgodne, kazały malować
na powrót. starannie sypał się kurz,
minuty w czasie niebyłej wizyty. był

poniedziałek. dzień nowy i strata. skąd siła, której mi
nie odebrałeś? skończyła się lekcja głodu? *to jest ziemia,*
gdzie bóg nieustannie rozpacza nad stworzeniem
– przyszła do mnie twoja maksyma.

jaka jest rama modalna śmierci? w której minucie
pochłonął cię kwadrat, pole milczenia i trwogi? czy rana
została w powietrzu? ostatecznie uciekłeś od rozmowy.

znam słowa szybsze niż kobuz, gdy rozrywa jaskółkę
w locie. w lekkim zwichnięciu trajektorii. wciąż czuję
to spojrzenie, które odrętwia i boli. zamknij oczy.

pozwól mi ochronić dziecko, jeśli położy się na wznak.
jeśli zacznie milczeć.

zwarcie

fiat w spadku,
pomarańcza, 126p.
berło dorobkiewiczów.
ballada o ojcu i synu, którzy nienawidzą się,
aż łączy ich

śmierć.

w ogrodzie ChłopiecStarzec sieje rutę. wyrosną z niej
sny o synu. kobieta jeszcze nie nosi brzemia. jej siedem
siwych włosów, braciszki, splata się w marzenie
o jednym dziecku. nie przesadzajmy. ozdobne rośliny oddziela
scenę od sąsiadów. za rzeką krzyk kozła zwoła sarny, staw
przegryzie groblę. F-16 wyskrobia niebo, skapnie słońce

i niemowlę

zapłacze w kojcu, w pokoju, który ożyje w jeden letni sezon.
o świcie naostrzysz kosę. wejdiesz na łąkę. otworzysz ranę
i z jamy w mgłę wyślizgnie się ojciec. czy będzie pamiętał
twoje imię? tam, w miejscu, gdzie rozsypałeś prochy.

potem przyjdzie zima. roztopy. i śnieg będzie gnął, aż stopi się
z ogniem.

rewir

ostoja z przysłówków. rdzenne
sny i krzepkie milczenie. psi pisk błotniaka, kiedy zsuwa się
z chmury, by polec w trzcinach. jest inny cel?

w powietrzu unosi się casa, transportowa duma
wojskowego lotniska. (tak wiele ostatnio spadło samolotów)
dokąd dziś leci etos armii, gdy wzbija się nad Rokitnicą

w stronę Łdzania. kto tu był dzieckiem? z opaską na oczach,
w ogniu rzeczy palonych po ojcu.

ile zapomnisz, tyle będziesz żył. cokolwiek powróci, będzie
ostateczne. jak owad na wodzie tańczący kankana. w kręgach
które schodzą się i rozchodzą.

na granicy lasu

kruk goniec. tancerz w koronie świerku. charkot i triumf
albo wyłom w mgle na parę akrów, orka po szturmie
chmury. tamto samotne drzewo w polu o imieniu *zgon*.

jestem na krawędzi czasu. w szarym mule. w wodnym
powietrzu, w miesiącu narodzin i zjaw.

wolno płynie październik. krople, cmokanie, klekot
liście ryby żerują na deszczu. ścieżka zwinnie wnika

w gęstwinę. lize sploty paproci i rozdwiają się. dalej
paśnik, zwierzę łakome snów. choćby lotu żurawia
jak ogromne uwolnione skrzele. albo sarniego piżma.

jak pachnie tętno? las to złoto i nikiel. nad oparem
kował o imieniu niebo kuje ślepe słońce. widzę
żywy śnieg. biała czapla wzbija się i płonie.